

BOHDAN KORZENIEWSKI

Było, minęło...  
*Wspomnienia*

przedmowa

ANNA KULIGOWSKA-KORZENIEWSKA

posłowie

ANDRZEJ KRUCZYŃSKI



A black and white photograph of a two-story classical building with a prominent pediment. The building is partially obscured by a dark, leafy tree in the foreground. A metal fence runs along the base of the building. The sky is clear and light. The overall mood is historical and somewhat somber.

**BYŁO, MINEŁO,  
NIE WRÓCI**

WSPOMNIENIE MÓWIONE

*IV Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Żółkiewskiego*  
Siedlce 1924,

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie

●

Jedno z moich pierwszych, dzieciennych jeszcze wspomnień sięga tych lat, kiedy znaleźliśmy się na kresach polskich. Mój ojciec, jako urzędnik sądowy, w czasie wojny\* otrzymał nominację na sędziego, gdzieś w pobliżu granicy chińskiej. Musiał więc opuścić Siedlce, a my razem z nim. Zapamiętałem naszą podróż: kiedyśmy wsiedli w Siedlcach do wagonu (ojca z nami nie było, miał przyjechać parę dni później, a nas skierował już na Wschód), przyszedł konduktor, wziął dowody, paszport matki, zasalutował i przeprosił, mówiąc, że musimy przesiąść się do innego wagonu, gdyż paszport opiewa na pochodzenie szlacheckie. Okazało się, że wsiedliśmy do wagonu, gdzie można było spotkać się z mieszczaństwem.

Ojciec dogonił nas w drodze i jechaliśmy razem na ten odległy Wschód. Kiedy znaleźliśmy się na Białej Rusi polskiej, ojciec przypomniał sobie, że w pobliżu mieszka jego siostra i że lepiej, zamiast jechać do tego Charbina, czy gdzieś jeszcze dalej, schronić się na okres wojny na wsi. I wysiedliśmy w Orszy.

---

\* I wojny światowej.

Moje wspomnienia łączą się z naszym pobytom w polskim zaścianku. Było to bardzo dziwne miejsce. Większość ludzi prawie po polsku nie mówiła, natomiast wszyscy czytali po polsku, modlili się z ksiązek katolickich. Na co dzień języka tego nie używali – polski był językiem pańskim i odświętnym. Tym się różnili od okolicy całej. Różnili się również i tym, że trzymali się tylko siebie, nie wchodząc w żadne komitywy z okolicznymi wsiami, nieraz zamożniejszymi od zaścianka. Cały zaścianek niezmiernie rozległy, rozciągający się na wiele kilometrów, zachował charakter zabudowy takiej, jaką otrzymał jeszcze za czasów tatarskich. Wzdłuż drogi wznosiły się częstokoły z grubych pali, ze strzelnicami i okienkami do strzelania, do obrony. Mimo iż wszystkie domy stały oddzielnie, każdy zabezpieczony był przed napaścią.

Zaścianek zamieszkiwały dwie rodziny szlacheckie, szeroko rozrośnięte: Szebekowie i Dubrawscy. Moja ciotka stryjeczna wyszła za Szebekę, i to w dodatku Fortunata. Ci Szebekowie siedzieli na niewielkim płachetku ziemi, mieli dziesięć czy dwanaście dziesięcin dosyć piaszczystych gruntów. Cały ten grunt rolny uprawiały kobiety. Kobiety żęły, kobiety robiły snopy, mężczyźni tylko zwozili wozami, no i orali. Przy czym kobiety, żeby odróżnić się od chłopianek z okolicy, do wszystkich robót wychodziły w rękawiczkach (mitenkach) z odciętymi palcami i w chustach zasłaniających twarze, żeby się nie opalić. Opalenizna była niedozwolona, bo opalone były tylko chłopianki.

Co niedziela jeździło się do kościoła, do sąsiedniego miasteczka – Sobolewa. Oddalone było ono jakieś osiem wiorst. Podróżowało się wspaniałym szlakiem, jeszcze stanisławowskim, wysadzonym starymi lipami. Droga wiodła pasem liczącym około czterdzieści sążni szerokości. W samym środku wybita była tylko koleina na malutkie wozy ciągnięte przez malutkie białoruskie konie, natomiast po obu stronach rosły wspaniałe trawniki i od wczesnej jesieni zbierało się tam grzyby, rydze, i to zbierało się koszami. Okoliczna ludność pamiętała, że jest to szlak stanisławowski, nie wiedziała tylko, dlaczego nie słyszała o tym, że był jakiś król Stanisław.

W samym zaścianku była bardzo żywa pamięć dawnej świetności rodów szlacheckich, wszyscy posiadali zaświadczenia, atestaty szlacheckie. Każdy w kufrze, w sunduku, trzymał zawinięty w szmatkę dowód szlachectwa. Dawalo to wówczas bardzo dziwne przywileje, o jednym wspomniałem, opisując naszą podróż pociągiem do Orszy, mimo to cała ludność przestrzegała swoich uprawnień szlacheckich. Przestrzegała ich w sposób osobliwy głowa rodu, ten wspaniały, metr dziewięćdziesiąt mierzący, z brodą, Fortunat Szebeko. Był wyjątkowo przyzwoitym człowiekiem, nie pił, nie robił awantur. Ale zawsze jesienią szedł do sąsiedniej gminy, już chłopskiej. Szedł tam do karczmy, upijał się i wszczynął awanturę. Wtedy zjawiał się policjant wiejski, który jak podchodził do niego, zdejmował czapkę i mówił: No, Pan Szebeko, pojedziemy do więzienia. Mój stryj chętnie się na to godził, tylko wychodził przed karczmę

i patrzył, jak wygląda wóz, który go zawiezie. Ściśle domagał się, żeby wedle obowiązujących go uprawnień i przywilejów wóz był wysłany kilimkiem, i żeby był zaprzęgnięty w trzy konie, nie w dwa. Patrzył, czy jest dobrze wymoszczony, czy kilimkiem zasłany jak należy, czasem domagał się nawet poduszki, wtedy ten policjant, klnąc, musiał gdzieś pożyczyc poduszkę. Wówczas stryj Fortunat wsiadał i jechał dwadzieścia parę wiorst do Orszy, do marszałka szlachty, na ukaranie. Marszałek szlachty dawał mu przeważnie dwa tygodnie aresztu domowego, które stryj spędzał u niego, i jak wracał po dwóch tygodniach, na całą zimę miał opowieści. Odbywało się to co roku, znane było, że Szebeko musi na jesieni odsiedzieć swoje dwa tygodnie u marszałka szlachty.

Poczucie przynależności do stanu szlacheckiego było bardzo silne w tym zaścianku. Otóż, kiedy do Danuty Szebeko, mojej siostry stryjecznej, wspaniałej, bujnej dziewczyny (wszystkie były bardzo ładne, *krasawe*, o urodzie szlachcianek – białe i różowe) zaczął się zalecać syn chłopca, bardzo bogatego, takiego mającego pięćdziesiąt dziesięcin, sam zaś inżynier i kapitan artylerii, to pamiętam jak dziś, jak stryj kłonicą pędził go przez konopie, krzycząc: – Precz, chamie, od mojej córki. – A działo się to już w czasie nadchodzącej rewolucji, początków olbrzymiego zamętu.

I właśnie w takiej wsi zamieszkaliśmy na pewien czas, ślad po nas przepadł, nikt ojca nie mógł odnaleźć. Tak, że ojciec pobyl z nami ze trzy miesiące, potem pojechał

do Orszy, gdzie dostał dobrą posadę przy budowie kolei Orsza – Woroźba, a myśmy zostali na wsi. Byłem wtedy dziewięcioletnim chłopakiem, kiedy wszystkie obowiązki ojca rodu, opiekuna rodu spadły na mnie jako najstarszego syna, miałem dwóch braci młodszych od siebie, jednego o dwa, drugiego o cztery lata. Do tego matka była dość niezaradna (przed wojną nigdy nie pracowała, po wojnie była nauczycielką), ponadto mieszkała z nami jej siostra, jeszcze bardziej niedołączna, całkowicie niezdolna do jakiegokolwiek wysiłku. Ojciec wynajął od panny Sipajło w tejsze wsi dworek, śliczny, stojący oddzielnie za wsią, typowy dwór polski, z gankiem, z kolumnkami. Znowu jesteśmy w pełni tego urokliwego krajobrazu. Panna Sipajło była starą panną, mieszkała w Orszy. Ten dom trzymała tylko dla polowań, przyjeżdżała od czasu do czasu i chodziła z dubeltówką po okolicach, w długich butach i w długiej sukni zamiatającej ziemię. Mówiła bardzo zabawnym językiem polsko-białoruskim, przekręcając słowa. Przy nas przypominała sobie z rozrzewnieniem polszczyznę, ale mówiła jeszcze: „nachodzi wieczór, trzeba pozażygać lampy”. Taki był jej język na co dzień. Najmłodszego mojego brata bardzo lubiła i mówiła do niego: „Ach ty, mały, niegodziwy”. Warto dodać, że po dwóch latach naszego pobytu w zaścianku, wszyscy zaczęli znakomicie mówić po polsku, może dlatego, że czuli się Polakami, byli związani z Polską jakimiś wspomnieniami.

I tak, kiedy ojciec był już w Orszy, zaskoczyła nas rewolucja. Rewolucja zaczęła się na wsi od tego, że zaczęli wracać



młodzi ludzie, którzy byli wzięci do wojska. Ponieważ była to szlachta, to nigdy nie brano ich do piechoty, szli więc do kawalerii albo do artylerii (stąd potem z tej wsi poszło dużo do Dowbora, od razu do kawalerii). Wspaniale zbudowane chłopaki, świetnie oswojone z końmi. Wracali, jak rozpadał się front, wszystkie wsie zaludniły się nagle poborowymi żołnierzami. Do tej wsi wracali przeważnie artylerzyści, ale nie wracali sami, wracali z końmi i z działami.

Trzeba pamiętać, że kresy polskie to zaścianki szlacheckie, takie jak ten, w którym mieszkaliśmy, oraz wsie chłopskie i ogromne majątki ziemskie trzymane od wieków przez bogate rody polskie. Okoliczni chłopci, kiedy zaczęli się burzyć i brać do polskich dworów (bo wrogość, która była, nagle wybuchła), postanowili zrobić porządek nie tylko z panami. Zaczęli pogadywać, że należy zrobić porządek również z zaściankiem Leszewo. Wtedy ci, którzy powrócili z wojska, obstawili działami wieś i dla uprzedzenia, co tu napastników czeka, ostrzeliwali sąsiednie wsie. Pamiętam, jakeśmy biegali patrzeć, jak oni ostrzeliwują, czy tam się zapali chałupa, czy nie. Strzelali na ogół bardzo dobrze, jeńców przyprowadzali, bili, uczyli szacunku dla panów. No, nic dziwnego, że to się później żałośnie skończyło, bo jak rewolucja opanowała wszystko i osiadła, oczywiście zaścianek zamieniono od razu na kołchoz, zaś ten wspaniały Szebeko, taka powaga całej wsi, został pastuchem wiejskim, a potem wszystkich piechotę popędzili na Syberię i po drodze większość wymarła. Te wiadomości dotarły do nas parę lat później.

Na przełomie 1917 i 1918 roku przenieśliśmy się do Orszy. Pożegnanie Leszewa odbywało się w warunkach dla dzieci niezmiernie podniecających. Pamiętam, że wyjeżdżaliśmy do ojca z tego dworku panny Sipajło, kiedy było już słyhać strzały armatnie ze wszystkich stron. Niemcy nacierali, co się przejawiało w ten sposób, że na parę dni przed odgłosami strzałów armatnich zaczęły snuć się w okolicy stada wilków, przechodziły przez sąsiednie lasy, uciekały przed frontem. Najpierw od zachodu ciągnęły te wilcze watahy, po czym pojawiły się resztki wojsk rosyjskich, zupełnie już zdeorganizowanych, niekarnych. Były też takie oddziały, które się trzymały, w których żołnierze nie powybijali swych oficerów, a wręcz robili ich komisarzami. Pod dowództwem tych oficerów-komisarzy jeszcze bronili się, jeszcze ostrzeliwali nacierających Niemców, którzy posuwali się naprzód w niezmiernym porządku. Wtedy tuż przed Niemcami uciekliśmy do Orszy, do ojca. Wkrótce potem Niemcy doszli do Orszy, ale miasta nie zajęli. W mieście była władza radziecka, dopiero organizująca się, po ulicach jeździły ekipy enkawudzystów. Spotykaliśmy tam młode, znajome Żydówki ze sklepików, w czapkach wolności z gwiazdą, jakie nosiło NKWD, w samochodach, z naganami przyczepionymi do pasa. Niemcy, co dziwne, nie zajęli Orszy, zajęli tylko stację. Gdy więc potem wracaliśmy do Polski, to musieliśmy mieć pozwolenie przejazdu na dworzec, rewidowali jedni, rewidowali drudzy, rabowały obie strony.